

## Bryczki z Grabowa

•



Był rok 1920 gdy z Żychlina, wspólnie z rodziną sprowadził się do Grabowa, mistrz kowalski Mateusz Lewandowski. Czwartkowe jarmarki w Żychlinie przyciągały rzesze chłopów, rzemieślników i handlarzy, ci w dużej części przejeżdżać musieli przez Grabów. Po brukowej drodze łączącej miasto ze stacją kolejową w Pniewie, ciągle jechały wozy zaprzężone w konie, te trzeba było podkuwać, a ulegający awarii sprzęt naprawiać. Rozwijał się więc kowalski zakład pana Mateusza; początkowo jako punkt usługowy, z czasem jako mały zakład produkujący również wozy, bryczki, różnego rodzaju dwukółki, wolanty i cygańskie wozy. Większość produkcji kupowali chłopci, ale też przejeżdżający tędy Cyganie, właściciele folwarków i księża. Coraz liczniejsze zamówienia spowodowały konieczność podjęcia przez kowala Lewandowskiego ściślejszej współpracy z innymi rzemieślnikami. Działał do spółki ze stelmachem, tapicerem i lakiernikiem. Pracował tak przez blisko trzydzieści lat, dokładnie do roku 1947. Po nim całą produkcję przejął syn Stanisław. Nauczony ojcowskim przykładem znacznie rozwinął zakład. Zamówienia spływały nie tylko z sąsiednich wsi, ale też z odległych nieraz stron, choćby z Łodzi czy Skierniewic. Zwiększył się popyt na chłopskie wozy, teraz wyposażone już nie w żelazne obręcze, ale w gumowe koła. Pracy nie brakowało. Prowadzony przez pana Stanisława warsztat nie mógł nadążyć z realizacją zamówień, często trzeba było przesuwać terminy realizacji kolejnych zleceń. Koniunktura trwała blisko dwadzieścia lat. Jednak ok. 1970 r. nastąpił dość znaczący

spadek dotychczasową produkcją. Chłopi przesiedli się z wozów i bryczek do samochodów, a konia zaczął zastępować traktor. Zamówienia na pojazdy paradne praktycznie przestały napływać, koni zaczęło ubywać w zastraszającym tempie. Przed dobrze do tej pory prosperującym zakładem stało widmo likwidacji. Chwilowo drobne naprawy sprzętu rolniczego dawały jeszcze jakąś nadzieję na przetrwanie. Gdy w 1996 r. Stanisława Lewandowski umierał, działalność rzemieślniczą już wcześniej przejął syn Andrzej. Zajmował się jednak już tylko drobnymi naprawami, nie posiadał niestety tej smykałki co jego dwaj poprzednicy. Nieraz trafiał się jeszcze jakiś koń do podkucia, ale jak sam mówił: - to już chyba koniec. W 1999 r. kułem pięć koni, a od tego czasu łącznie niewiele więcej. Gdyby nie renta, nie byłoby z czego żyć...

Kto dziś pamięta, że z grabowskiej kuźni wyjeżdżały zaprzęgowe pojazdy znane w całej okolicy? Kto dziś pamięta mistrza kowalskiego Mateusza i Stanisława Lewandowskich? Dzisiaj wygaszone w rogu kuźni palenisko, porozwieszany na ścianach sprzęt kowalski i stojące pośrodku kowadło, - wyglądają jakby jeszcze na coś czekały, - chyba jednak już tylko na gorsze czasy.

Zapisana w 2004 r. historia skończyła się jeszcze gorzej niż wówczas. W międzyczasie zmarł pan Andrzej, a cała posesja wystawiona została na sprzedaż